

Barwy i odcienie szczepień ochronnych

W ostatnich latach, w tym pandemicznych, większość z nas oswoiła się z różnymi aspektami związanymi ze szczepieniami. Początkowy okres panowania COVID-19, a więc rok 2020, to czas ogromnych (i zakończonych sukcesami) wysiłków organizacyjnych Izby Lekarskiej, aby zapewnić wszystkim chętnym – w szczególności lekarzom seniorom – możliwość jak najsprawniejszych szczepień. Pamiętam tłok w deszczu przed Działem Rehabilitacji Szpitala im. N. Barlickiego, sprawdzanie przez cerberów listy uprawnionych w przedsionku, gromadne wspinanie się po schodkach, błyskawiczny wywiad i... ciach – wkłucie. Potem kilkunastominutowe czekanko na ewentualne komplikacje i ulga po ponownym wyjściu na deszcz. W następnym roku tłoczyliśmy się na Lumumbowie – ponieważ to trochę dalej od śródmieścia, stale podjeżdżały taksówki z chętnymi. A potem już każdy, gdzie się dało. Z „międzynarodową” książeczką nawiedzałam pobliską uprawnioną aptekę i z dumą ogłaszałam wszem i wobec: czterokrotnie zaszczepiona!

Fakt, przed rokiem, przy łagodnym kaszlu, bólu głowy i temperaturze około 38 stopni, odwiedziłam lekarza pierwszego kontaktu. Zrobiono mi test – wynik był pozytywny. Przebieg choroby był łagodny, chyba że czeka na mnie wciąż LONG COVID. Dodam, że pomiędzy kolejnymi szczepieniami na COVID zaszczepiłam się także na pneumokoki. Z tego, co wiem, teraz nikt już nikogo profilaktycznie nie testuje. Moja koleżanka z Koła, przebywając w sierpniu w sanatorium w Ciechocinku, zauważyła, że sporo pacjentów nie wychodziło z pokoju na posiłki, tłumacząc się przeziębieniem. Sama tam złapała COVID, ale na szczęście również w łagodnej postaci.

Co roku szczepimy się przeciw grypie. Bywało prosto, szybko i wygodnie. Na przykład w poradni przy ul. Próchnika każda osoba w odnośnym wieku mogła przyjść bez uprzedniego umawiania się, była badana na miejscu, kwalifikowana i od ręki szczepiona, pardon w rękę! Potem kazano odczekać kwadransik i – załatwione. Było to wygodne dla wszystkich. I komu to przeszkadzało? Teraz trzeba najpierw zaliczyć pierwszy kontakt, dostać receptę, wykupić szczepionkę, pilnować jej temperatury i zrealizować skierowanie na szczepienie w odpowiednim gabinecie. Troszkę to bardziej skomplikowane. Towarzystwo lekarsko-senioralne, coroczni „szczepionkowcy”, wzajemnie informują się od początku grudnia... „już są w aptekach!”. Wiele osób szczepi się samodzielnie. Ja do nich nie należę. Lękliwie, wraz z synem, korzystamy z pomocy koleżanki, która przed ukończeniem studiów medycznych była pielęgniarką. Więc fachowość u niej wszelaka.

W tym roku cała procedura wyglądała dość kabaretowo. Sztuka komiczna w pięciu aktach. Osoby dramatu: rzeczona koleżanka, ja, mój syn. Czas trwania – 7 minut. Miejsce – parking przed Aldi. Koleżanka spieszy się do domu w innej dzielnicy, gdzie jest umówiona.

Ja zaplanowałam szczepienie na dziś, więc również się spieszę, proporcjonalnie do jej pośpiechu. Syn z rezerwą spełnia polecenia.

Akt I: W aptece realizuję recepty na szczepionki (czekające już od jakiegoś czasu) i nabywam gaziki odkażające.

Akt II: Śpiesznym krokiem zmierzam z łupem do auta, oddalonego o 150 metrów.

Akt III: W aucie, na miejscu kierowcy, siedzi mój syn z obnażonymi ramionami. Koleżanka odbiera ode mnie co trzeba, i wbija mu igłę, gdzie trzeba, na oczach zdumionych gapiów.

Akt IV: Syn wysiada. Zajmuję jego miejsce, zdejmuję sweter, a koleżanka wykonuje kolejne wstrzyknięcie, także na oczach zdumionych gapiów.

Akt V: Ubieramy się, dziękujemy, koleżanka spieszy się na autobus (zdąży), a my odjeżdżamy.

Epilog: Sądzę, że niektórzy z obserwujących mogli podejrzewać, że chodzi o narkomanów „na głodzie”. Na szczęście nie znalazł się żaden sygnalista, który powiadomiłby policję...



Fot: Grafika wygenerowana przez Adobe FireFly